

50 lat kalejdoskop

05/2024 wojewódzki
magazyn kulturalny



Łódź

nr ind. 323489
ISSN 0860-3057
cena 5 zł
(w tym 5% VAT)

Sopranistka
Iwona Sobotka
podczas koncertowego
wykonania partii Izoldy
z „Tristana i Izoldy”
Richarda Wagnera
w Filharmonii Łódzkiej
12 IV 2024 r.

Fot. Marcin Stępień
– z archiwum Filharmonii Łódzkiej



Franek Ammer
„Rodzinny Ogród
Działkowy Sielanka”,
instalacja, 2024
– wystawa zbiorowa
„Sielanka. Co artyści
uprawiają?”
w Kamienicy
Hilarego Majewskiego,
czynna do 15 V

Na okładce: Dawid Wajszczyk, wokalista
łódzkiego zespołu Black Radio – czytaj na str. 40
Fot. Piotr Kamionka

Adres redakcji

Łódzki Dom Kultury
ul. Dowborczyków 18, 90-019 Łódź
tel. 797 326 217
e-mail: kalejdoskop@ldk.lodz.pl

www.e-kalejdoskop.pl

Informacje o imprezach

prosimy przysyłać na adresy

kalejdoskop@ldk.lodz.pl
kalendarium@ldk.lodz.pl

Redakcja

Bogdan Sobieszek – redaktor naczelny
Aleksandra Tałaga-Nowacka

Projekt graficzny

Marta Krzemień-Ojak, Leniva^o Studio

Skład

Aleksandra Gruszczyńska
Justyna Purczyńska-Zieleniewska

Druk

SilverPrint
ul. Gliniana 13
91-336 Łódź

Nakład 1300 egz.

Prenumerata

Nie mogą Państwo znaleźć „Kalejdoskopu”
w sklepie lub w kiosku?
Można zaprenumerować go w redakcji.

Wystarczy wpłacić na konto
Łódzkiego Domu Kultury
(44 1020 3352 0000 1002 0014 2562)
kwotę 88 zł, a poczta dostarczy
co miesiąc egzemplarz „Kalejdoskopu”
(jedenaście kolejnych numerów).
Na kalejdoskop@ldk.lodz.pl należy przesłać
swoje dane do wysyłki wraz z informacją,
od którego numeru ma się zacząć prenumerata.



łódzki
dom kultury

województwo ^Ł
łódzkie

Institucja Kultury
Samorządu Województwa
Łódzkiego

Nasz (wasz) „Kalejdoskop”

Bogdan Sobieszek, redaktor naczelny

Nie oszukujmy się: jest inny. Mam na myśli nie tylko wielkość redakcji (czasem nazywam ją kieszonkową), organizację i sposób funkcjonowania (znałem pisma sprzedające po kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy, a robione w kilku pokojach wynajętych mieszkań). Od początku do dziś „Kalejdoskop” ukazuje się dzięki publicznym pieniądзом. Gdy powstawał w latach 70., nie można było inaczej. Teraz to rzadkość. Ten sposób finansowania zawsze (wtedy i obecnie) niósł określone konsekwencje dla lokalnego pisma poświęconego kulturze. W PRL – ostatnie miejsce w kolejce po przydzielony papier i dostępność drukarni. W realiach rynkowych po 1989 roku – konfrontację z oczekiwaniem, że kultura musi na siebie zarobić. Utrzymanie niszowego pisma było więc znacznie trudniejsze. Rewolucja cyfrowa trwająca od początku XXI wieku pogorszyła sytuację wszystkich tytułów drukowanych. Przynajmniej od dekady z roku na rok towarzyszy nam – osobom, które tworzą „Kalejdoskop” – niepewność, czy przetrwamy. Udało się przetrwać już 50 lat, właśnie dzięki pieniądżom publicznym, pieniądżom nas wszystkich. Stąd płynie dla redakcji podstawowe zobowiązanie i odpowiedzialność. Myśląc o redaktorach i redaktorkach, którzy byli przed nami, podtrzymujemy tradycję rozmowy o kulturze, istotnej części tożsamości miasta i województwa. Gdy przeglądamy archiwalne numery „Kalejdoskopu”, na okładkach widzimy twarze młodych aktorów – dziś nierzadko gwiazd sceny i ekranu, czytamy teksty wybitnych osobistości polskiej kultury, trafiamy na ślady wielu artystycznych dróg. Takie chwile utwierdzają mnie w przekonaniu, że ta praca ma sens. „Kalejdoskop” – cegiełka składająca się na dużo większą całość – ma sens. ¶

Spis treści



15 Maj Way.
Andrzej Poniedzielski

Temat numeru

18 Czytajcie pisma kulturalne
– tak szybko odchodzą.
Dariusz Pawłowski

22 Wróćmy do początków.
Maria Sondej

25 „Kalejdoskop” na przełomie.
Gustaw Romanowski



Zdjęcia z archiwum rodzinnego
Zdzisława Słostaka

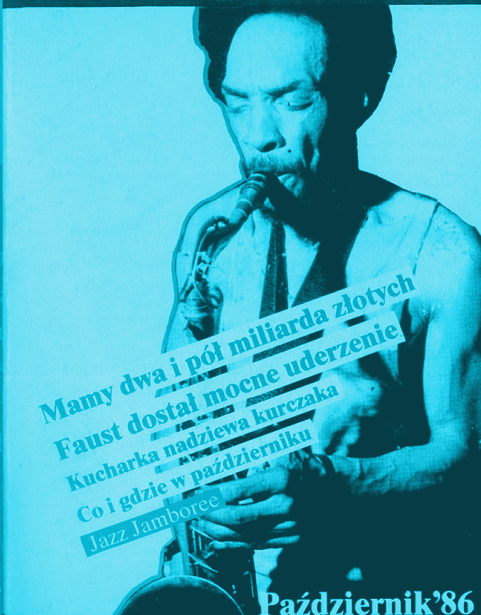


- 28 Skróty i skrótowce.
Mieczysław Kuźmicki
- 29 Galeria Kalejdoskopu
– Milena Romanowska
- 34 Łódzki Stijl – łódzki styl?
Maciej Cholewiński
- 40 Wyjście z garażu.
Bogdan Sobieszek
- 42 Piosenka rozbraja.
Magdalena Sasin
- 44 Bez serc, bez ducha.
Dariusz Bilski
- 46 Mistrz polskiej animacji.
Krzysztof Jajko
- 48 Cichy kącik w WFO.
Mieczysław Kuźmicki
- 50 Dostałem, co chciałem.
Rozmowa z Andrzejem B. Czuldą
- 54 Róże tolerujące półcień.
Piotr Gajda
- 57 Piękny świat utracony.
Łukasz Barys
- 58 Pocztówki
od Krzysztofa Zanussiego.
Łukasz Maciejewski
- 60 Festen, Festen i po święcie.
Piotr Grobliński
- 62 Fałszerze i reportaże.
Piotr Kasiński
- 64 Szlakiem kobiet.
Rozmowa z Martą Zdanowską
- 68 Kalendarium

kalejdoskop

Informator kulturalny Łódź maj 1974

łódzki przewodnik kulturalny **kalejdoskop**



Mamy dwa i pół miliarda złotych
Faust dostał mocne uderzenie
Kucharka nadziewa kurczaka
Co i gdzie w październiku
Jazz Jamboree

Październik '86

nr 1/2013
cena 3 zł
Kalejdoskop
magazyn kulturalny łódzi

łódzki przewodnik kulturalny **kalejdoskop**

listopad '90

co? gdzie? kiedy?



Łódzki Informator Kulturalny i Turystyczny

KALEJDOSKOP

Nr 1/99

Styczeń

ISSN 0360-3037
Cena 1,50 zł



magazyn kulturalny łódzi i woj.

KALEJDOSKOP

Giorgio MORODEI
Król disco, D



skiej kinematografii.

Jednym z ostatnich, schodzących z półek filmów, jest dokument powstały w łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych pt. „Grudzień '70”. Film, wokół któ-

rego narosły mity i owiewała go legenda, krążyć — jak każda sensacja — bliżej lub dalej których wyjaśniano za pomocą napisów, jakie w tych miejscach wystąpiły trudności i dlaczego — taki był zamysł twórców i w takim kształcie film pozostał do dziś. Negatyw schowano do spe-

Czytajcie pisma kulturalne – tak szybko odchodzą

Pragniesz rozśmieszyć wydawców, redaktorów naczelnych, kolegia redakcyjne współczesnych mediów rozwijających swoją obecność w internecie, poszukujących odbiorców w serwisach społecznościowych czy poprzez wyszukiwarkę Google? Zaproponuj im materiały dotyczące kultury, nie mające nic wspólnego z emocjonalnym pożyciem celebryckich ekshibicjonistów istnienia.

Dariusz Pawłowski

„Tego nikt nie czyta”, „kultura się nie klika” – to najłagodniejsze określenia, jakie usłyszysz. Niestety, w dużej mierze są one zgodne z prawdą. Kultura, ta wartościowa, w mediach nie jej wyłącznie poświęconych stała się „elitarna”. Lecz w tym przypadku ani dla niej, ani dla jej odbiorców nie jest to komplementem.

Przez lata nikt rozsądny nie kwestionował przekonania, iż jednym z zadań mediów – przede wszystkim mediów publicznych – jest upowszechnianie szeroko rozumianej kultury i wartości, jakie ona ze sobą niesie. Także w mediach prywatnych funkcjonowały mniej lub bardziej liczne działy kultury. Szanujące się gazety, tygodniki, rozgłośnię radiowe miały w zespołach publicystów

i recenzentów teatralnych, muzycznych czy literackich, trzymały rękę na kulturalnym pulsie miast, regionów i kraju. Publikacje dotyczące kultury nie tylko wysokiej (którą umiejętnie jeszcze odróżniano od rozrywki) prezentowano dla prestiżu marki lub inaczej – „honoru domu”, ale i z autentycznej potrzeby uczestnictwa w sferze aktywności ludzi twórczych, charyzmatycznych, oryginalnych, którzy zaspokajali duchowe potrzeby bardziej wyrafinowanej części społeczeństwa, oddziaływali na rzeczywistość oraz byli partnerami w rozmaitych przedsięwzięciach decydentów politycznych i biznesowych. Przede wszystkim jednak media dysponujące stałą przestrzenią poświęconą kulturze

budowały trwałą więź pomiędzy nią samą, jej twórcami a odbiorcą.

Zadziwiająco, jak łatwo obecności kultury w mediach głównego nurtu zaszkodziło upowszechnienie dostępu do tworzenia i odbioru treści w internecie. „To tylko narzędzie, od nas zależy, jak będzie wykorzystane” – powtarzali oczywistą prawdę apologetci stwarzanych przez globalną sieć możliwości. Trudno się zatem dziwić, że nowe narzędzie, jak to człowiek ma w naturze, zostało wykorzystane głównie do tego, by rozpowszechnić to, co łatwe i bezrefleksyjne, za to na niespotykaną wcześniej skalę. Tym samym unaoczniło i pogłębiło jedynie niszowość kultury, widzianej jako zjawisko ekskluzywne, wymagające od uczestnika kompetencji oraz wiążące się z intelektualnym i emocjonalnym wysiłkiem odbiorcy, miast stworzyć przestrzeń do jej rozpowszechniania, zdobywania i edukowania konsumentów. Kultura we współczesnych mediach wpadła w błędne koło. Skoro się „słabo klika”, jest marginalizowana, spychana na podstrony, „przykrywana” udającymi „niusy” materiałami z cyklu: „to szok, zobacz co zrobił/zrobiła” czy „wiemy, czego nie wiemy”, które po rozwinięciu okazują się pobawionymi treści, źle napisanymi materiałami złożonymi z kilku tych samych zdań lub kreowanymi sensacjami, wymyślonymi plotkami itp. W konsekwencji zatem kultura jest wyszukiwana jeszcze rzadziej, niezauważana, pomijana, pozostawiana samej sobie. Co w następnym etapie pogłębia argument o marnej klikalności i skazuje ją na wspomnianą niszę i oddziaływanie co najwyżej środowiskowe.

Takie pozostawienie kultury jej środowisku umieszcza ją w coraz bardziej izolowanych „bańkach”. Dziś już po krótkiej obserwacji portali, pism czy platform aktywistów mediów społecznościowych można przewidzieć, jak zostaną w nich potraktowane i ocenione konkretne zjawiska i wydarzenia kulturalne jeszcze przed

przeczytaniem czy wysłuchaniem zamieszczonych tam materiałów. Tym bardziej że gros krytyków w recenzjach pisze raczej o sobie, popisując się swoimi lekturami, obejrzanymi spektaklami i filmami czy „zaliczonymi” wystawami, zamiast analizować to, czego właśnie byli świadkami. Kryteria ocen wywiedzione są ze światopoglądu, a nie badania artystycznej jakości przedsięwzięcia, niezależnie od idei, pod jakimi podpisuje się oceniający. Omawiane utwory umieszczane są w kontekstach, coraz częściej z pominięciem rzeczywistej doniosłości lub miąższości samego dzieła oraz pracy zaangażowanych w jego powstanie twórców. W takim myśleniu dobre jest to, co jest zgodne z naszym sposobem widzenia świata, a nie to, co jest dobre. Odbiera to sztuce jedną z jej najcenniejszych – moim zdaniem – cech, czyli zdolność do poddawania się najróżniejszym, często diametralnie odmiennym interpretacjom. Trzeba spełniać oczekiwania „bańki”, bo w przeciwnym wypadku i tak już niszowa „bańka” wypchnie delikwenta poza margines zakreślony przez niepodlegające dyskusji poglądy. W odnoszeniu się do sztuki niekonieczna jest wrażliwość (czasem mam wrażenie, że uznawana jest za cechę przeszkadzającą), z którą bratają się wątpliwości, a wystarczy przekonanie o swoim jedynie słusznym punkcie widzenia. Skoro jakkolwiek rozumiana „duchowość” została wyśmiana i obalona, pozostaje artykułowanie cytatów z bieżących facebookowych narracji, wystylizowanych w koktajlowy dress code idei uznawanych za progresywne. Siłą różnych dziedzin sztuki (a szczególnie teatru) była opowieść o człowieku, gmeranie w jego kondycji. Teraz nad ponadczasowością dominuje doraźność.

Tymczasem poświęcanie kulturze miejsca w mediach – i to tych głównego, najszerszego nurtu, dotyczącego wszelkich dziedzin ludzkiej aktywności – pozostaje najdynamicznym i najcelniejszym sposobem jej popularyzacji oraz dawaniem

Wróćmy do początków

Pół wieku temu w łódzkich kioskach Ruchu pojawił się pierwszy numer „Kalejdoskopu”. Bardzo, ale to bardzo różnił się od obecnego: formatem, zawartością, urodą.

Maria Sondej

Ukazał się w nim między innymi wywiad z Wiesławem Garbolińskim, ówczesnym prezesem Związku Polskich Artystów Plastyków w Łodzi, znalazły się także sylwetki malarza Konstantego Mackiewicza oraz Jadwigi Andrzejewskiej – przedwojennej gwiazdy polskiego filmu, a w 1974 roku aktorki Teatru Powszechnego, gdzie rok wcześniej zagrała tytułową postać w sztuce Brechta „Matka Courage”. Ale najważniejszą częścią pisma były obszerne informacje repertuarowe, przysyłane przez teatry, filharmonię, kina, galerie wystawiennicze i muzea. To dzięki nim „Kalejdoskop” miał ułatwić łodzianom orientację w wydarzeniach kulturalnych Łodzi. Wprawdzie w codziennych gazetach ukazywały się repertuary teatrów i kin oraz informacje o godzinach pracy muzeów i galerii plastycznych, ale dotyczyły tylko konkretnego dnia. Trudno było w tej sytuacji cokolwiek zaplanować. Kiedy będzie nowa wystawa?

Co Teatr Wielki pokaże za dwa tygodnie? Jakie nowości Centrala Wynajmu Filmów wprowadzi na ekrany w najbliższym miesiącu? Tu mała dygresja. Z tymi filmami to była skomplikowana operacja. Wśród nowych pozycji musiały być zachowane rozmaite parytety, na przykład stosunek liczby premier „zachodnich”



Fot. z archiwum Marii Sondej

Maria Sondej i Ryszard Kuba Grzybowski na werniszu wystawy, druga połowa lat 70.

Maria Sondej

od 1974 r. do stanu wojennego współtworzyła „Kalejdoskop”. Od 1990 do 2000 pracowała w łódzkim oddziale „Gazety Wyborczej”. W 2001 r. wróciła do „Kalejdoskopu” najpierw jako sekretarz redakcji, a potem zastępca redaktora naczelnego. Ścisłe współpracowała z miesięcznikiem „The Warsaw Voice” (2001–2013). Regularnie publikowała w „Kronice Miasta Łodzi”. Od trzech lat z niewielkim zespołem „bawi się” w radio internetowe.

do premier z krajów socjalistycznych. Na konieczność ścisłego przestrzegania tych proporcji (i w tytułach, i w liczbie seansów) narzekali pracownicy Miejskiego Zarządu Kin, że o widzach nie wspomnę.

W stolicy już od lat 60. XX wieku ukazywał się Warszawski Informator Kulturalny i cieszył się wielkim powodzeniem. Nic dziwnego, że władze Łodzi, wówczas drugiego co do wielkości miasta w Polsce, uznały, że łodzianom także nie wystarczą słupy reklamowe i prasa codzienna. Powstał więc „Kalejdoskop”, mający w podtytule określenie „informator kulturalny”.

Wcześniej, przez co najmniej trzy miesiące, pracownicy Komitetu Łódzkiego PZPR oraz Wydziału Kultury i Sztuki UMŁ spotykali się z animatorami pisma. W tych spotkaniach uczestniczył m.in. Bogusław Sikorski, prowadzący później pierwsze dziewięć numerów „Kalejdoskopu” (w stopce występował jako sekretarz kolegium, którego pozostali członkowie chyba nigdy do redakcji nie zajrzeli). Ja także kilka razy brałam udział w tych spotkaniach organizacyjnych. Pamiętam, że już wtedy w gorących dyskusjach o kształt przyszłego pisma wyklócał się Ryszard Kuba Grzybowski, do stanu wojennego redaktor graficzny „Kalejdoskopu”. Potem, po latach wrócił do współpracy z redakcją, publikując co miesiąc swój rysunkowy komentarz do polskiej rzeczywistości. Przynosił te rysunki, przy okazji prowadząc z redaktorami długie dyskusje na przeróżne tematy. Trzeba przyznać, że zawsze uważał „Kalejdoskop” za „swoje” pismo i do redakcji przychodził niemal do końca życia, a zmarł w 2022 roku. Chwalił, jeśli coś mu się spodobało, i ganił, jeśli nie było po jego myśli.

Ale wróćmy do początków. Wydawcą „Kalejdoskopu” został Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi, a redakcja mieściła się w strukturach i w budynku Łódzkiego Domu Kultury. Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk udzielił zgody na wydawanie pisma i określił górną granicę jego nakładu na 5000 egzemplarzy, po roku podnosząc ją do 6200. Początkowo nie wykorzystywaliśmy nawet tego limitu. Poza pierwszym numerem pozostałe ukazywały się w 1974 roku w nakładzie 3100 (wakacje), 2500 (grudzień) czy nawet 1100 egzemplarzy (listopad). Powodem były problemy z drukiem.

„Kalejdoskop” na przełomie

Jesienią 1986 roku pojawił się w łódzkich kioskach październikowy numer „Kalejdoskopu”. Pojawił się dość niespodziewanie, bo poprzedni, z grudnia 1981 roku, pozostawał w pamięci jako pożegnalny – zdążył się ukazać przed ogłoszeniem stanu wojennego i rozpędzeniem poprzedniej redakcji z jej redaktorem naczelnym Jerzym Katarasińskim.

Gustaw Romanowski

Nowym wydawcą miesięcznika nie był już Łódzki Dom Kultury, ale Centrum Informacji Kulturalnej, czyli biuro podległe magistratowi, a redaktorem naczelnym został Andrzej Wojciechowski, w Łodzi znany bardziej jako muzyk jazzowy niż dziennikarz. W tym samym czasie Jurek Katarasiński odpowiadał już za redakcję podziemnej gazety „Głos Łodzi”, a ja miałem szczęście współredagowania z nim także periodyku kulturalnego „Drogi” – oczywiście też w formie „samizdatu”. Przeglądając ten pierwszy numer odnowionego „Kalejdoskopu”, doszliśmy do wniosku, że jego poziom merytoryczny jest przyzwoity i nawet otwierający numer wywiad z sekretarzem KŁ PZPR nie razi partyjną propagandą, bo rozmówca dość uczciwie przedstawia krytyczny stan oficjalnej kultury w Łodzi. A trzeba tu dodać, że w roku ponownego „debiutu” czasopisma życie kulturalne i towarzyskie było w Łodzi wciąż wyraźnie podzielone. To oficjalne toczyło się niby tak jak przed 13 grudnia 1981 r., to drugie tworzyło alternatywną przestrzeń uwolnioną od PRL-owskiej cenzury. Przestrzeń wypełnioną inną prasą i innymi książkami niż te z oficjalnego obiegu, choć drukowanymi na kiepskich powielaczach i marnym papierze. Przestrzeń artystyczną z wystawami sztuki organizowanymi w podziemiach kościołów. I odbywającymi się w prywatnych mieszkaniach spotkaniami dyskusyjnymi, które zawsze mogły

Gustaw Romanowski
dziennikarz,
publicysta, krytyk
sztuki. Publikował
(od 1966 r.)
w „Przeglądzie
Artystycznym”
i „Odgłosach”.
Był zastępcą
kierownika działu
kultury „Głosu
Robotniczego”
(1977–1981), po
13 grudnia 1981
pozbawiony prawa
wykonywania
zawodu, publikował
w prasie podziemnej
i wydawnictwach
drugiego obiegu.
Redaktor naczelny
„Głosu Porannego”
(1990–1992),
dziennikarz
„Rzeczpospolitej”
(1992–2003).
Redaktor naczelny
„Kroniki Miasta
Łodzi” (2003–
–2018). Na łamach
„Kalejdoskopu”
publikuje
z przerwami
od 1974 roku.

się skończyć wkroczeniem tam funkcyj-
nariuszy SB lub milicji.

Dlatego każda nowa inicjatywa władzy,
także w dziedzinie kultury, odbierana była
przez drugą stronę z nieufnością. Postano-
wiliśmy więc z boku obserwować, w jakim
kierunku rozwinię się linia redakcyjna cza-
sopisma. Przez następnych kilkanaście
miesięcy była ona ostrożna i zachowawcza.
Reaktywowany „Kalejdoskop”, powielający
listę tych samych nazwisk tuzów kultury
i sztuki, co ówczesny tygodnik „Odgłosy”,
był raczej nudny. Jedynie opracowanie
graficzne i styl typografii zaskakiwały
oryginalnością. To za sprawą Zbigniewa
Koszałkowskiego, który odtąd odpowiadał
za wizualną atrakcyjność czasopisma.

Gdy kilkanaście miesięcy później w stop-
ce redakcyjnej listopadowego numeru
z 1987 r. pojawiło się nazwisko Zbigniewa
Nowaka jako zastępcy redaktora naczelnego,
stało się jasne, że za jego sprawą linia
redakcyjna może stać się bliższa środo-
wiskom artystycznym, a nie działaczom
partyjnym. Nowak, związany wcześniej
z Krajową Agencją Wydawniczą i znany
głównie jako fotograf, mógł liczyć na oso-
biste kontakty z twórcami kultury, któ-
rych potrafił przekonać do współpracy
z „Kalejdoskopem”. Sprawdziło się to już
w grudniowym numerze z 1987 r., kiedy
opublikowano tekst o działających w Łodzi
alternatywnych galeriach sztuki: Galerii
Wymiany Józefa Robakowskiego, Strychu
grupy Łódź Kaliska, Galerii Ślad Janusza
Zagrodzkiego, Punktu Sztuki Antoniego Mi-

kołajczyka, Galerii „U Zofii”, prowadzonej przez Grażynę Łuczko. Dla wielu czytelników informacja o publicznie nieznanymi inicjatywach mogła być zaskakująca. Jeszcze bardziej zaskakiwało, że cenzura nie interweniowała i pozwoliła taki tekst opublikować.

W październiku 1988 r. „Kalejdoskop” ogłosił przyznanie po raz pierwszy Nagrody „Sprężyna”. Redakcja stworzyła ją dla uhonorowania twórców kultury za szczególnie nowatorskie pomysły. Pierwszą „Sprężynę” otrzymał Paweł Nowicki, dyrektor Teatru Studyjnego, pod którego dachem znaleźli azyl niepublikujący od lat w oficjalnym obiegu poeci, tacy jak Zdzisław Jaskuła czy Andrzej Babaryko.

Galeria Kalejdoskopu

**Milena
Romanowska**

Melancholia

Aleksandra Talaga-Nowacka

Budowle i ich resztki, jak kości, pozostają śladami życia długo po jego zakończeniu. Nieprzypadkowo konstrukcje są długowieczne – pozwalają opierać się grawitacji i same opierają się upływowi czasu. A budynek tak jak duży organizm – musi mieć szkielet.

Jednak nie biologiczne konotacje, lecz konstrukcja jako forma lub zderzenie form oraz wywoływane przez nie wrażenie pustki interesują malarkę Milenę Romanowską, której obrazy (ale i szkice) do 23 maja można oglądać na wystawie „Strefy (do) zamieszkania” w Stacji Nowa Gdynia w Zgierzu. Budynki na jej płótnach są bowiem opuszczone albo zamieszkałe jedynie przez duchy.

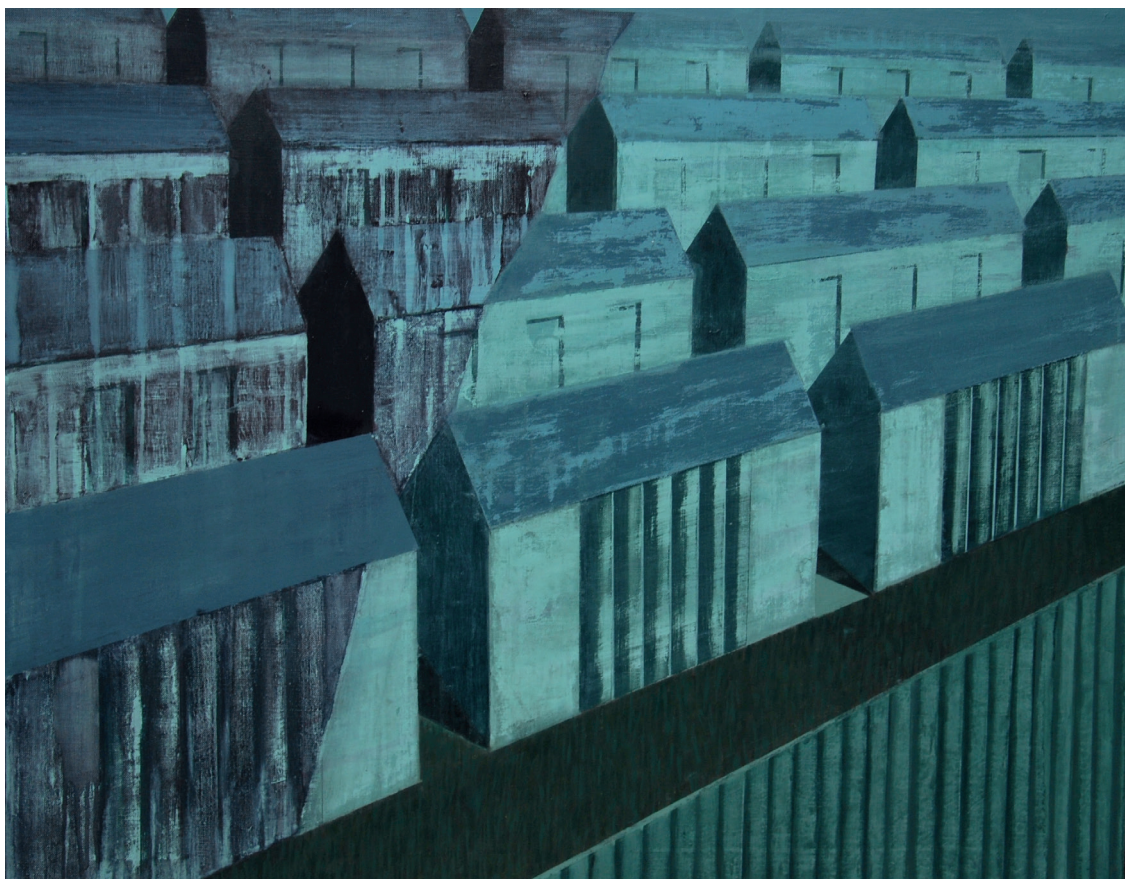
Jak w mieście, tak i na obrazach łódzkiej artystki to często ciągi albo skupiska budynków lub ich ruin – tutaj: geometrycznych brył z zaledwie zarysowanymi detalami. Zawsze w stonowanych kolorach: odcieniach brązu, błękitu czy szarości, budzą melancholię. Z przetarciami i spatynowane, skłaniają do kontemplacji i kierują myślą gdzieś ponad fizyczne właściwości murów. Od odbiorcy zależy, dokąd konkretnie. Na pewno jest to sztuka wyciszająca, bo też obrazuje i wyraża ciszę. Podkreśla to spokojna kompozycja płócien, pozbawiona dramaturgii kontrastów.

Wydaje się, że inspirując się konkretnymi miejscami, takimi jak postmodernistyczny cmentarz w Modenie, czeska wioska czy starożytne wykopaliska, albo architektonicznymi makietami, Milena Romanowska stara się uchwycić ducha architektury, jej sedno (a w cyklu „Makiety” – zderzenie czystej, „bezosobowej” wizji z jej realizacją poddaną biegowi czasu). Czasem przedstawienia są tak uabstrakcyjnione, że trudno odczytać inspirację, ale zawsze dostrzegalny jest tu aspekt przemijania i związany z nim niepokój – choć też i pogodzenie się z nim. Artystka bowiem nie buntuje się przeciw upływowi czasu, lecz go honoruje i szanuje. Dostrzega, a nawet podkreśla urodę patyny.

W twórczości Romanowskiej ważne jest jeszcze coś, co na tej wystawie pozostaje jakby w domyśle – konstatacja, że budujemy głównie po to, żeby zapewnić sobie schronienie i poczucie bezpieczeństwa, odgrodzić się od niebezpieczeństw, od innych ludzi. Przed przemianami nas to jednak nie uratuje... ¶

→ Milena
Romanowska
„Zamarłe osiedle II”,
2021

Milena
Romanowska
„Zamarłe osiedle I”,
2021



Lodzer Stijl — łódzki styl?

Maciej Cholewiński

Śpiewało się za młodu: „...Berlin, Praga, Paryż, Rzym...”. Pragę znam słabo, w Rzymie nie byłem. W Berlinie bywam co i rusz. Bez wątplenia ma swój styl. Paryż również. Każde ze wspomnianych miast posiada coś własnego, rozpoznawalnego na pierwszy rzut oka. Ludzie jakoś inaczej wyglądają, mówią z charakterystycznym akcentem, od dziecka widują Bramę Brandenburską albo Koloseum. Aby dodać sobie seksapilu, miasta przybierają tytuły, np. „zimowa stolica Polski”, „miasto kultury”, „miasto akademickie”, „miasto spotkań”, „miasto renesansu”, „stolica polskiej piosenki”. A co z Łodzią? Czy istnieje coś, co można nazwać „łódzkim stylem”?

Wymyślono, że hasło „Łódź kreuje” będzie odpowiedzią na „miasto kultury”. Bez sensu. Moim zdaniem nie powinniśmy wdzięczyc się i brać udziału w żalonym wyścigu o najlepszy wizerunek. My (to znaczy Łódź) jesteśmy inni. Przyznają to łodzianie, mówią tak przybysze z zewnątrz. Pytani, na czym to polega, recytują jednak wiązankę stereotypów, a wśród nich zdanie, jakie usłyszałem od młodego warszawiaka: „Łódź? Przecież tam nic nie ma! Ale zaraz, jest jakaś Piotrkowska...”.

Kinomani wymieniali „Ziemie obiecane”, Polańskiego i Szkołę Filmową. „Artyści” wspominali z nabożną czcią o Muzeum Sztuki w Łodzi, Strzemińskim i Kobro.

„Sportowcy” mówili: „Widzew i ŁKS”. Filo- i antysemita podkreślali olbrzymią rolę Żydów w rozwoju miasta (przy okazji zawsze zadawałem im pytanie: „Jak sądzisz, ilu Żydów mieszka dziś w Łodzi?” – raz otrzymałem zdumiewającą odpowiedź: „ze sto tysięcy?”). Większość jednak nie potrafiła powiedzieć niczego konkretnego. Przeważały straszne historie znane z tabloidów, uzupełniane opinią aktora, z którym nie chce mi się gadać.

Jedni się z tego powodu oburzają, inni smućą, a jeszcze inni – i to uważam za najzdrowsze – przekuwają słabość w siłę, wręcz podkreślając i obnosząc się z kolejnymi łódzkimi wpadkami, prezentując tym samym poczucie humoru i dystans. Żeby wykazać się swoim niezaprzeczalnym poczuciem humoru, na pytanie „skąd jesteś” zawsze odpowiadam słowami Wiecha: Ja, jak wujek Wężyk, z miasta Łodzi pochodzę. To jest obok Kuluszek.

Najbardziej spektakularnym przykładem łódzkiego stylu, odmienności jest Stare Miasto. Każdy ośrodek miejski w Polsce ma mniejszą lub większą starówkę, a tam wiadomo: gotyk, renesans czy inna secesja z modernizmem, nowe plomby po zburzonych przez bomby domach, ratusz, piękny kościół, pomniki, fontanny, ewentualnie „zaczarowane dorożki”. Niczego takiego nie oferuje nasza „starówka”. Tak, przy

placu Kościelnym stoi strzelisty kościół pw. Najświętszej Maryi Panny, ale reszta... I zaprzyjaźniony warszawiak, i zaprzyjaźniony „krakus” zrobili wielkie oczy na widok urokliwych staromiejskich uliczek: Wojska Polskiego, Joselewicza, Berlińskiego, Majzla, Kronstadta, Jakuba, pierwszych kilkuset metrów Łagiewnickiej czy Młynarskiej. Niezaprzeczalnego piękna słynnej posesji zwanej „WP13”. Czynnich długo w noc nastrojowych „kafejek”, pubów, dobrych restauracji, sklepów z pamiątkami, wielojęzycznego gwaru czynionego przez turystów...

Duch miasta wynika z kilku uniwersalnych zmiennych: historii, krajobrazu, charakteru mieszkańców oraz dokonań najwybitniejszych jednostek. Nad sztuką krakowską zawsze rozbrzmiewać będzie dzwon Zygmunta, nad zakopiańską górować Giewont, a nad paryską – wieża Eiffla. Od tego się nie ucieknie. Tak samo Łódź nie wydobędzie się z cienia fabryk i „Ziemi obiecanej”. Zza pleców tutejszych artystów zawsze będzie wychylać się Strzemiński i Kobro, a filmowców z „Filmówki” – Roman Polański, Andrzej Wajda, Krzysztof Kieślowski czy Wojciech Jerzy Has. Obok

pisarzy będzie stał Reymont, Kosiński lub Sapkowski. I Tuwim. Przy muzykach Rubinstein i Tansman, Urbaniak i Krauze, a z piłkarzami „w uliczkę wyskoczy Boniek”. Nie ma w tym nic złego. Wręcz przeciwnie. To są mocne karty i powinniśmy nimi grać. Grać i wygrywać. Wiadomo, że nie wszyscy z wymienionych przeze mnie artystów tu się urodzili czy stworzyli swoje dzieła od A do Z. Ale to Łódź dała im szansę na zrobienie czegoś wielkiego, służąc choćby za źródło inspiracji.

Bez litości

Historia Łodzi jest amerykańska, kowbojska. Olbrzymie miasto powstałe pośrodku lasu, rozrastające się w niesamowitym tempie, pełne ciągnących tu za chlebem „awanturników”. Zarabiające miliony, z oceanem nieprawdopodobnej nędzy za oknami. Rabowane bez litości podczas wojen. Miasto robotniczego, krwawego polsko-żydowskiego buntu przeciw wyzyskowi i marzeń o lepszej przyszłości. Miasto, które na krótko było nieoficjalną stolicą Polski. Miasto włóknienek, które setkami, tysiącami, razem z większością

Mural Grupy Twożywo w podwórzu przy ul. Piotrkowskiej 26, powstały w ramach Fokusa Łódź Biennale 2010



Zdjęcia: Maciej Cholewiński

Dostałem, co chciałem

To jest opowieść o Zdzisławie Szostaku, wielkim kompozytorze, świetnym dyrygencie, autorze znaczącej muzyki do filmów. Jednocześnie chciałem pokazać go jako skromnego, ciepłego człowieka. Nie pomnikową postać. Film ma oddać mu szacunek, ma przywrócić, podtrzymać pamięć o nim w Łodzi – mówi Andrzej B. Czulda, reżyser i współscenarzysta filmu dokumentalnego „Partytura w głowie”.

Bogdan Sobieszek: Kim był dla ciebie Zdzisław Szostak, zanim zajęłeś się realizacją filmu o nim?

Andrzej B. Czulda: Wiedziałem, że jest wielkim kompozytorem i dyrygentem. Prywatnie był moim kolegą. Bardzo interesował się kinem. Gościł na premierach moich ostatnich pięciu filmów w Muzeum Kinematografii. Dyskutowaliśmy. Był bardzo życzliwy. Lubił bankietować, więc to też nas zbliżyło. Nie wpadłem sam na pomysł zrobienia o nim filmu, ten temat podpowiedział mi nieżyjący już Tadeusz Wijata. – Przecież to wielki człowiek, wielki łodzianin – przekonywał. Zaproponowałem mojemu przyjacielowi Mieczysławowi Kuźmickiemu wspólne napisanie scenariusza. Nie mieliśmy pieniędzy, ale postanowiliśmy, że nakręcimy z Szostakiem wywiad-rzekę, żeby mieć materiały do filmu.

Dlaczego chcieliście to robić, zanim jeszcze zgromadzicie budżet?

Zdzisław dobiegał dziewięćdziesiątki. Coraz trudniej było mu się poruszać. Uznałem, że to ostatni dzwonek. Poprosiłem o pomoc mojego operatora i przyjaciela

Jacka Duszyńskiego, z którym pracowałem w latach 80. w Wytwórni Filmów Oświatowych. Wziął kamerę i z Mieczysławem – trzech kolegów – poszliśmy do Zdzisława. Siedzieliśmy u niego trzy dni, wypytaliśmy go o wszystkie okoliczności jego życia.

Zaczął się od tego, że WFO kupiła wasz scenariusz.

Potrzebowaliśmy na realizację około 170 tysięcy złotych. Wystarczyło wyłożyć 30, 40 tysięcy. Resztę trzeba było znaleźć w Polskim Instytucie Sztuki Filmowej albo w Łódź Film Commission. Ówczesny prezes WFO Rafał Józwiak zaproponował, żebyśmy ten film zrobili u nich. – Łódzka wytwórnia, łódzki reżyser, łódzki bohater – mówił wtedy. Chyba w grudniu 2020 roku WFO podpisała z nami umowę na scenariusz, żeby aplikować o dofinansowanie do PISF. Wkrótce potem Rafał Józwiak awansował do Urzędu Marszałkowskiego. Pełniącym obowiązki prezesa był Sławomir Kalwinek, przez dłuższy czas nic się z filmem nie działo, wniosek do PISF nie został złożony. Gdy prezesem został Waldemar Drozd, sprawy ruszyły



Andrzej B. Czulda
(z prawej)
ze Zbigniewem
Preisnerem
w jego studiu

Fot. Zdjęcia i werki z planu
filmu „Partytura w głowie”

do przodu. Przeszliśmy trzy komisje eksperckie i otrzymaliśmy dotację z PISF, więc rozpoczęła się produkcja.

Dlaczego Łódź nie dała pieniędzy na film o Zdzisławie Szostaku?

Zanim poszedł wniosek do PISF, pod koniec 2022 lub na początku 2023 roku staraliśmy się o dofinansowanie z Łódzkiego Funduszu Filmowego, choć wiedzieliśmy, że pieniędzy nie dostaniemy. Wytwórnia podlegał pod marszałka Schreiberera, czyli opcję pisowską, a operująca funduszem Łódź Film Commission podlega pod prezydent Zdanowską, opcję platformerską, więc już na wstępie zostaliśmy odrzuceni. Według informacji od producenta nie dostaliśmy żadnego uzasadnienia decyzji*.

Jak przebiegał proces produkcji?

Najpierw wybrałem ludzi do ekipy. Są to na ogół osoby, z którymi współpracuję od 25, 30 lat. Wiem, czego mogę od nich wymagać, i oni wiedzą, na czym mi zależy. Zdjęcia trwały dwa miesiące. W ekipie znaleźli się: operator Jacek Duszyński i jako II operator Sławek Pękala z „Oświatówki”, montażysta Paweł Makowski, dźwiękowiec Bogusia

Kłopotowska, którą zastąpił Bogdan Klat i świetnie się sprawdził. Kierownik produkcji był z wytwórni – Jędrzej Hejduk, młody człowiek. Artur Frątczak ustawił korekcję barwną, co stanowiło wyzwanie w wypadku materiałów z różnych źródeł, każdy w innej tonacji barwnej.

Jak sprawdziła się wytwórnia?

Wiele lat współpracuję z wytwórnią, ale teraz było bardzo ciężko. Nie nazwałbym tego profesjonalną produkcją. Organizacja była tragiczna. Największe problemy były z terminowością, o wszystko trzeba było prosić, wielokrotnie jeździć, wyciągać. Kierownik produkcji prowadzi wiele różnych spraw jednocześnie, które zlecają mu szefowie. Nasz film nie był tu najważniejszy. Ciężko szło. Dużo zdrowia i nerwów kosztował mnie ten film, wieczna szarpanina. Z następnym tematem będę musiał poczekać. Nie mam zaufania do prywatnych producentów, a sam jestem za stary, żeby brać na siebie jeszcze produkcję. Zobaczymy, jak się sytuacja rozwinie.

Udało ci się porozmawiać z bohaterem, ale musiałeś też znaleźć archiwalia,